

Złoty cielec.

Powieść wysnuta z aktów kryminalnych.

F. Łęcki.

2

Ciąg dalszy.

Zamordowany miał szyję przeciętą prawie do samego kęgłoslupa; na podłodze leżała zakrwawiona brzytwa.

Lekarz orzekł, że morderstwo spełnione zostało przed trzema godzinami, a więc około drugiej po północy. Komisarz policyi podjął oględziny ubrania zamordowanego. Na palcach błyszczały brylantowe pierścienie, w kieszeni była portmonetka z drobną monetą, ale nie znaleziono ani zegarka, ani pugilaresu. Dziwne się to wydało komisarzowi, bo przecież człowiek wykwiłtnie ubrany i noszący drogie brylantowe pierścienie, bez pularesu z większym zapasem pieniędzy i bez zegarka w podróży się nie puszczał.

— Morderstwo dla rabunku — rzekł komisarz. Zbrodniarz czyhał zapewne na pieniądze, o których musiał wiedzieć, a pierścieni nie pościagał z braku czasu, i może z obawy, aby się krwią nie powalać.

— Czy pan nic nie widział i nic nie słyszał? — zapytał komisarz, zwracając się do doktora.

— Zasnąłem tak twardo, że zupełnie straciłem przytomność — odpowiedział doktor prawie z wysileniem, bo czuł teraz jeszcze większe osłabienie.

— Na którym miejscu pan siedział? — zapytał komisarz.

Doktor je wskazał.

— A ta chustka? — zapytał komisarz — czy to pańska własność?

— Nie panie, zdjąłem ją z twarzy, a skąd się tam wzięła, tego nie wiem.

Komisarz ujął chustkę w palce, powąchał i dając ją lekarzowi, rzekł:

— Nasycona chloroformem.

Lekarz potwierdził, a komisarz policyi zaczął teraz przeglądać pozostawiony płaszcz i znalazł w kieszeni fiolkę z resztkami chloroformu, tudzież czarną, jedwabną chustkę. Konduktor i doktor poznali, że to była ta sama, którą morderca miał twarz obwinięta.

Wkrótce przeniesiono zwłoki do zakładu medycyny sądowej, a doktor z konduktorem mieli się natychmiast udać do urzędu policyjnego, jako świadkowie, lecz zaledwie stanął doktor na peronie stracił przytomność i zemdlął.

Z pół godziny trwało, zanim mu lekarz, w biurze naczelnika stacji, przytomność wrócił. Wreszcie zdołał już pojechać do dyrekcji policyi. Oczekiwano tam na niego z prawdziwą niecierpliwością. Zanim przybył rozpoznano już zwłoki i pokazało się, że ofiarą zbrodni padł Otto Döbel, bankier i radca komercyjny. Nastąpiło przesłuchanie.

— Nazwisko pańskie?

— Fryderyk Schwerdtner, doktor filozofii.

— Czy pan znał zamordowanego?

— Nie.

— Niechże pan opowie wszystko, co panu wiadomo, co pan spostrzegł, jakiego wrażenia doznał pan na widok towarzyszy podróży.

Schwerdtner odpowiedział dokładnie na te pytania, ale w odpowiedziach nie było żadnego materiału do zebrania poszlak.

— A możeby nam pan powtórzył rozmowę, którą ci podróżni toczyli?

— Rozmawiali półgłosem, więc bardzo mało z rozmowy ich pochwyć mogłem, zwłaszcza że się o nią nie troszczyłem; to tylko pamiętam, że mówili o rzeczach obojętnych, o pogodzie, o życiu w mieście i że byli ze sobą na stopie poufałej, przyjacielskiej, bo do siebie przez „ty“ przemawiali.

— A, to szczegół wcale ważny — powiedział urzędnik, kierujący śledztwem.

— Konduktor zeznał również, że obaj podróżni po przyjacielsku przez „ty“ do siebie przemawiali, że mieli bilety pierwszej klasy, ale do niej nie wsiedli, bo w każdej przedziałce było po kilka osób, a oni sami wygodnie jechać chcieli. Szczególnie zamordowany Döbel domagał się tego, aby znaleźli miejsce, gdzieby tylko we dwóch siedzieć mogli.

— Mówiłeś pan panie doktorze — odezwał się urzędnik policyi — że mniemany morderca często wał pana cygarem.

— Tak panie. Nie wziąłem cygara, bo nie pa-

le, przytem od nieznanomych nie zwykłem nie przyjmować, ale zwróciło to moją uwagę, że podawał cygara w dziwny sposób. Trzymając „porte cigares“, jedną jego połowę przysłonił ręką, a drugą mi podsuwał.

— A! rozumiemy. Koło siedzenia zamordowanego Döbela, znaleziono kawałek niedopalonego cygara. Damy go zaraz zbadać chemikowi. Widocznie morderca uspił swoją ofiarą zatrutym cygarem i z panem chciał toż samo uczynić. Działał zuchwale, a z szatańską przebiegłością. Chustka, którą twarz panu zakrył, ma oddarty kawałek brzegu, gdzie prawdopodobnie znak był umieszczony.

Dr. Schwerdtner odzyskał już świeżość umysłu, osłabienie go opuściło i zaczął sobie przypominać niektóre szczegóły, o których w zawrocie głowy, w przerażeniu i zatruciu chloroformem, chwilowo zapomnieli. Teraz przypomnieli mu się, że na pół śpiący widział, jak poobwiany podróżny podniósł się ku lampie i przyćmił ją zupełnie. Teraz przypomnieli też sobie, że słyszał wyraźnie wypowiedziane czyjeś nazwisko, dość szorstko brzmiące.

— Może je pan dokładnie sobie przypomni?

— W tej chwili nie mogę.

— Może bodaj główne, najważniejsze głoski?

Schwerdtner namyślał się, tarł czoło; wyczekiwano w milczeniu grobowym tego, co powie, ale przypomnieć sobie nie zdołał.

— Nie, nie. Jeszcze mi się mąci w głowie. Zamęt straszny, patrzę jak przez mgłę.

— Ale czy pan wie z pewnością, że to bankier wypowiedział owe nazwisko?

— Ależ niezawodnie. Słyszałem jego głos, gdy rozmawiał z mordercą. Głos właściwy ludziom otyłym, nieco astmatyczny, zduszony. Tym głosem wyrzucono nazwisko, tylko z wysiłkiem, krzykliwie, jakby z przerażeniem. Wywarło to na mnie wrażenie wstrząsające, chciałem się zerwać z miejsca, ale ubezwładniony chloroformem, nie zdołałem się dźwignąć i nagle doznałem uczucia, jakby mój pękl mi na dwoje, poczem już straciłem zupełnie świadomość tego, co się działo ze mną i koło mnie.

— A czy zdołałbyś pan przypomnieć sobie to nazwisko, gdybyś je przypadkiem ponownie usłyszał?

— Zdaje mi się, prawdopodobnie.

— Może pan jeszcze pamięta jakie szczegóły?

— Nic już, nic zgola.

Na tem skończyły się zeznania doktora. Chociaż odzyskał świeżość umysłu, głowa ciążyła mu bardzo, bolała, czuł ugniot, jakby mu żelazny ciężar na czaszce położono. Nie mógł udać się wprost do barona, więc odłożył to do dnia następnego i poszedł na spoczynek do hotelu.

II.

Dość wielki, bogaty był pałacyk barona Ellericha. Wtłoczony nieco w głąb ulicy, otoczony ogrodem, należał do okazalszych budynków w mieście. U furty domek portyera, poza nim klomby wiodące już kwiatów, bo jesień je przyginała. Dr. Schwerdtner nie był tu jeszcze, spoglądał więc z tem większą ciekawością na tę siedzibę swego dobroczyńcy, a teraz i swoją. Zapatrzył się w nią, zajęty cokolwiek dziwacznością, może nawet zuchwałą architektoniczną kombinacją budynku. Było w niej sporo ciężkiej ornamentyki, jeszcze więcej szablonowego naśladownictwa, a najwięcej pretensjonalności. Niemilego doznał wrażenia; zdawało mu się, że go coś stąd odpycha. Tak bywa niekiedy, że wygląd domu zachęca, lub zniechęca do mieszkańców. Oczywiście i tylko pod wpływem pierwszego wrażenia.

— Czy pan tu ma jakiś interes? — zapytał nagle portyer, zjawiwszy się u furty.

— Idę do pana barona Ellericha. Czy jest w domu?

— Niema. Pan baron wyjechał na posiedzenie...

— Proszę mój bilet oddać.

Schwerdtner wręczył bilet, portyer go poufale przeczytał i rzekł protekcyjnie:

— A to pan, coś tu nastał do nauki jaśnie panicza. Pan baron zostawił dyspozycję, żeby pana wpuścić.

To rzekłszy, przycisnął guzik dzwonka elektrycznego, a zaraz potem ukazał się na tarasie pałacyku wygolony lokaj.

— Co tam? — zawołał.

— Przyszedł nauczyciel; zaprowadź go, jak pan baron rozkazał.

Napuszony portyer schował się do swojego dom-

ku, a lokaj z oddali skinął ręką, wskazując wejście do pałacu.

Doktor zdumiony, niemal osłupiały pod wrażeniem takiego przyjęcia, szedł jak na ścięcie. Jeżeli służba tak lekceważąco go wita, czegoż spodziewać mu się trzeba od barona i jego rodziny? Nie znał pałaców, nie ocierał się o nie, nawet się nie stykał z ludźmi, co w pałacach mieszkają. Baron pomagał mu, zasilając hojnie funduszami, ale działo się to listownie, lub za pośrednictwem pastora w Berghausen. Raz tylko, przed trzema laty, miał sposobność przedstawić się baronowi w domu pastora, ale rozmawiał z nim krótko, przełotnie, gdyż baron właśnie już wychodził i zatrzymał się nie miał czasu.

Jakiś lęk ogarnął Schwerdtnera, więc nieśmiało zdążył za lokajem. Olśnił go wytwornie urządzone westybul, do reszty onieśmielał przepych, który spotykał na każdym kroku. Lokaj zatrzymał się w bocznym kurytarzu, otworzył drzwi i rzekł sucho:

— To pokój dla pana przeznaczony, ale i oba przyległe pokoje będą pod pańskim nadzorem, bo w jednym jest sypialnia panicza, a w drugim pokój do nauki. Wolno je sobie obejrzeć; pan baron wydał takie zarządzenie.

Schwerdtner wszedł, rozejrzał się do koła. Urządzenie było wcale wykwiłtnie, może nawet za zbyt kowne dla człowieka, nawykłego do skromnego życia, nie szukającego przyjemności w wygodach i wygódkach, jeno w poważnej pracy naukowej. Lokaj wyszedł, zamknął drzwi za sobą i doktor sam został w ciszy wielkiego gmachu, który mu się wydał zakłętym zamczyskiem, bez ludzi.

Do przyległych pokoi drzwi były rozwarte, więc próg przestąpił i rozpatrywał się w urządzeniu sypialni swojego przyszłego ucznia. Tu już prawdziwy był zbytek, a dopiero w trzecim pokoju, do nauki przeznaczonym, było mu bardziej swojsko. Mała biblioteczka, mapy na ścianach, tablica w kącie, stół na środku, założony poważnymi ilustracjami, atlasami, przybory do gimnastyki i szermierki, wszystko to przemawiało do Schwerdtnera jak dobrzy znajomi, jak przyjaciele, jak towarzysze. Z tego pokoju były drzwi na rozcież otwarte do dalszych apartamentów, ale nie miał odwagi tam zajrzeć.

Usiadł i zamyślił się nad tem, co będzie, jak będzie na tym posterunku nauczycielskim. Jacy tu ludzie, jaki uczeń, jakie życie, jakie stosunki. Od niechcenia rzucił przez nie okiem i zoczył jakiś duży portret, wiszący na przeciwległej ścianie. Lubił sztukę, interesował się nią, więc podniósł się, podszedł kilka kroków i stanął w progu, aby się malowidłu przypatrzeć. Była tu niewielka sala, coś w rodzaju przybocznego salonu, o niewyraźnym charakterze w urządzeniu, umeblowaniu i przeznaczeniu. Z boku były drzwi szklane, na ogrodowy taras wiodące.

Słońce przerwało gęstwą mgły jesiennej, wdarło się pękiem promieni do tej sali i oblało falą światła ów portret na ścianie. Była na nim postać kobiety, naturalnej wielkości. Światło ożywiło portret, uwydatniło piękność rysunku i kolorytu. Poczucie estetyczne porwało Schwerdtnera ku obrazowi i zapomniawszy o tem, że mu lokaj tylko trzy pokoje do zwiedzenia wskazał, przestąpił próg sali i do portretu się zbliżył.

Był to obraz pięknej, młodej, bardzo młodej kobiety, wybornego pędzla. Wpatruje się zrazu w technikę malowidła, ale wnet pociągają go ku sobie piękne, zamyślane oczy, melancholijnie w dal spoglądające i zwoje bujnych, jasnych włosów okalających twarz myślącą, piękną, niemal uroczą. Dziwne ta piękna kobieta ma usta. Zdaje się, że co chwilę coś innego na nich się zjawia. Na pierwsze wejście uśmiechają się łagodnie, ale zaraz zmienia się uśmiech dobrotliwy w szyderczy, lub ironiczny. To znowu niby melancholia tęsknota na nich osiadła, a za chwilę zdaje się, że niewinna pustota z nich tryska.

Schwerdtner wpatruje się z różnych stron, zbliża się do obrazu i oddala od niego i nie może sobie zdać sprawy z tej psychologicznej zagadki, uwieszonej w malowidło. Zapomniał o tem, gdzie jest, a widział tylko obraz i czynił studia psychologiczne. Drażniło go, że nie zdołał wyobrazić sobie charakteru, czy bodaj temperamentu wymalowanej osoby i w tem rozdrażnieniu przywidziało mu się, że ta piękna postać na portrecie szydzi z jego dociekali, uraga mu i lekceważąco na niego spoziera.

Usłyszał z boku szelest, spojrzął w tę stronę i spostrzegł tę samą postać, co na portrecie, ale żywą, nie malowaną. Weszła przez drzwi szklane z ogrodu, a zobaczywszy Schwerdtnera, zatrzymała